

Nazywam się Marian Romatowski, syn Dominika i Kazimiery, urodzony 5 sierpnia 1923 roku we wsi Lipnik, powiat Szczuczyn.

Do 1939 roku żyłem przy rodzicach, którzy posiadali gospodarstwo rolne wielkości 14 ha. Ojciec był rolnikiem, urodził się w 1897 roku. Matka moja urodziła się w 1897 roku. Najstarszy brat, Antoni- 1921 rok, Władysława-1927, Józef- 1930 rok.

Jeżeli chodzi o powód naszego zesłania to miał on związek z najstarszym bratem. Antoni brał udział w kampanii wrześniowej, został rozbrojony w mieście Lida. Powrócił do domu i zaczął uczyć się w gminazjum w Grajewie. Chodził do trzeciej klasy.

Na 11 listopada jego klasa zrobiła taką bramę z napisem- "Niech żyje 11 listopada, niech żyje Polska"! Oczywiście łatwo było to zauważyć NKWD-zistom, natychmiast wszczęli śledztwo, ustalili, że cała klasa brała udział w tym, chłopcy i dziewczęta no i nastąpiło masowe aresztowanie. Osadzili ich na początku w Grajewie. Po przeprowadzeniu dochodzenia zostali wszyscy skazani i osadzeni w więzieniu w Łomży. Brata zobaczyłem niestety dopiero po zakończeniu wojny w roku 1945.

W dniu 13 kwietnia 1940 roku nad ranem, gdzieś o godzinę piątą usłyszeliśmy mocne stukanie do drzwi i do okien. Zerwaliśmy się. Usłyszeliśmy mowę rosyjską i rozkaz, żebyśmy otwierali. Zrozumieliśmy sytuację. Ojciec otworzył. Rozpoczęła się rewizja, przede wszystkim szukali broni, rewizja była bardzo szczegółowa.

Kazali nam się ubierać. Nie trudno nam się było domyślić charakteru wyjazdu bo przecież 10 lutego taka deportacja była przeprowadzana i objęła ona leśników i niektóre rodziny policyj-  
- jne.

W tym czasie kiedy przyszli po nas nie było mojego brata-Józefa, który był w wiosce, myśmy mieszkali na kolonii, dwa kilometry od Szczuczyna. Wysłali jednego z NKWD-zistów po niego. Razem z nim pojechał

mój wujek, który mieszkał w sąsiedztwie. Wtedy kiedy była już cała rodzina zabrano nas.

Nasza rodzina z Lipnika nie mogła się z nami pożegnać na miejscu, nie pozwolono na to. Pożegnaliśmy się dopiero w Grajewie na stacji.

Chciałem jeszcze na chwilę powrócić do rewizji. Przypominam sobie, że chciałem zabrać ze sobą niektóre książki np. "Pana Tadeusza". Włożyłem go do swoich rzeczy. Zauważył to NKW-dzista. Powiedział: "Co za pan Tadeusz? O panach nielizia!". Zabrał mi tę książkę. Zapytałem go czy mogę wziąć inne książki. Zgodził się na to.

Miałem dość pokaźną biblioteczkę. Poza tym były książki mojego brata, dużo książek pochodziło z biblioteki, z Grajewa, z biblioteki gimnazjalnej, bo brat w niej wypożyczał. Pamiętam taką książkę Osędowskiego - "Przez kraj zwierząt, ludzi i bogów". Brat uważał, że jest to książka bardzo znienawidzona przez Rosjan bo tam było o bohaterstwie Polaków. Tę książkę też zabrałem. Takie książki były przechowywane przez młodzież, która zabierała je z biblioteki, żeby ocalały. Dużo książek nie zabrałem ale wziąłem ze sobą Trylogię, kilka dzieł Kraszewskiego no i "Pana Tadeusza", którego włożyłem z powrotem kiedy strażnik nie patrzył.

Ten NKWD-zista był bardzo dobry. Nawet powiedział ojcu, żebyśmy brali jak najwięcej produktów ze sobą i jak najcieplejsze ubranie.

Powiedziano nam, że nas wywożą gdzieś na krańce Polski, na dawną granicę, nie do Rosji. Mogliśmy jednak spodziewać się czegoś gorszego, ponieważ ci, którzy wywiezieni byli wcześniej, potajemnie wyrzucali karteczki z trasy i wojskowi, Polacy, którzy powracali ze Związku Radzieckiego ten ślad odczytywali.

Rozlokowywano nas po kolei-jak kto przyjeżdżał tak zajmował.

Na początku zajmowaliśmy górne potem dolne, niektórzy byli nawet na podłodze wagonu. Był w rogu wagonu otwór, który służył za wc. Dla przyzwoitości sami sporządziliśmy jakąś zasłonę.

Do wieczora nikt nie miał prawa wychodzić. Cały czas uzupełniali wagony.

Zapomniałem jeszcze powiedzieć, że sporządzony został spis inwentarza, który pozostał w naszej gospodarce. Ojciec musiał go podpisać. Było pięć krów, dwie pary koni, kilka świń, owce. Tato otrzymał pokwitowanie. Było to sporządzone w dwóch egzemplarzach, oryginał otrzymał tato i powiedziano mu, że otrzyma to wszystko na nowym miejscu zamieszkania.

Jeśli chodzi o osoby, które z nami były. W sumie było 40 osób, w wagonie. Nasze rzeczy osobiste były z nami, a takie inne rzeczy, które pozwolono nam zabrać to były w specjalnym wagonie, towarowym.

Tam między innymi miałem rower, rower Kamińskiego, bardzo dobra marka.

Niektóre rodziny będące z nami nie miały prawie nic, bo im nie pozwolono. Dzieliliśmy się z nimi.

Były z nami następujące rodziny: ze Szczuczyna-pani Ciepelewska z synem i córką. To była rodzina policyjna/córka Lucyna, koleżanka moja z ławy szkolnej/, pani Migus, mąż jej był policjantem wraz z synem Piotrem, z Wąsosza pani Orłowska z dwiema córkami: zosią i Jadzią, rodzina żydowska Denemark ze Szczuczyna - córki Sara i Cyganka. Sara była bardzo ciekawą osobą. W transporcie bardzo się nam ograżała, że jest komunistką i że będzie jeszcze rad nami górować. Jej rodzice byli bardzo starzy. Jechała rodzina wyrobników z majątku Nieckowo. Składała się z dziewięciu osób: dwoje staruszków i młodzi jechali, nawet jechała na własną prośbę narzeczona jednego z chłopaków.

Prawdopodobnie powodem ich wywózki było to, że ojciec należał do Naroda - dówki.

Na każdej stacji otwierano wagony i sprawdzano obecność wszystkich. Wtedy wolno nam było wychodzić pod wagony i zaspokajać swoje fizjologiczne potrzeby. Pilnowano nas bardzo. Przy każdym wagonie było czterech NKWD-zistów z bagnetami na karabinach. Wtedy kiedy wychodziliśmy staliśmy po obu stronach wagonu. Przychodził na postój oficer i czytał nazwiska, każdy musiał się pokazać, nawet jeśli był chory to musiał się odezwać.

Jechaliśmy tylko w nocy. Na każdej stacji doczepiali po kilka wagonów. Nasz szaron wciąż się powiększał. Do ostatniej stacji Stołpiec, jechaliśmy w polskich wagonach. Po stronie radzieckiej przeładunkowo wali nas do wagonów rosyjskich. Były to też wagony bydłowe tylko trochę większe. Wtedy zrozumieliśmy, że naprawdę opuszczamy ojczyznę.

W Stołpcach niektórzy brali ziemię „polską” ziemię ze sobą.

Pamiętam jak w Białymstoku, w Wołkowysku, ludzie z daleka i z bliska podchodzili do nas, niektórzy rzucali, mimo zakazów, chleb.

W Polsce nie otrzymywaliśmy żadnych posiłków, każdy jadł to co miał. Dopiero za granicą zaczęli dawać nam zupełną i po pół bochenka chleba na całą dobę. Poza tym na każdej stacji zaopatrywali nas w kipyatki, czyli gotowaną wodę.

Zapowiedzieli nam od razu, że nikt nie ma prawa oddalać się samodzielnie od wagonu, ponieważ zostanie zastrzelony.

Ale w Białymstoku znalazło się kilku odważnych młodych ludzi, którzy schowali się za tzw. szpały czyli podkłady i uciekli.

Było straszne zamieszanie w Białymstoku. Potem jeszcze gdzieś, nie pamiętam dokładnie gdzie, uciekł jeszcze jeden. Zatrzymali cały pociąg, szukali, ale tamtym się udało.

W dzień staliśmy na bocznicach. Za granicą pozwolono nam otworzyć te okienka. Ci ludzie na Białorusi, do Mińska, doskonale zdawali sobie sprawę z tego jaki los nas czeka.

Widzieliśmy malujące się na ich twarzach współczucie, żegnali nas nawet znakiem krzyża.

Tak nas wieźli przez Rosję, mieliśmy nadzieję, że zostawią nas chociaż w części europejskiej, niestety po przejeździe przez Ural przekonaliśmy się, że wiozą nas gdzieś dalej. Przygnębiał nas bardzo stepowy krajobraz, pustka, brak roślinności.

Przywieziono nas piątego maja do Pawłodaru, nad Irtysz. Zabrano nas wszystkich z wagonów na samochody i zawieziono do olbrzymiego, ogrodzonego obozu. To było rano, wolno nam było tam, jeżeli ktoś miał ~~se~~ czego ugotować sobie zupę, trochę dano węgla. Tak przetrwaliśmy całą noc. Rano przyjechały ciężarowe samochody, ładowano nas po kilkanaście rodzin. Wieziono nas wspólnie z panią Orłowską i rodziną państwa Niedźwiedzkich z Grajewa, pięć osób z mojej rodziny, trzy z Orłowskich i dziewięć z rodziny Niedźwiedzkich/.

Zawieziono nas do Kujbyszewskiego rejonu, kalinińskiego sowchozu, fermy numer trzy- 40 km od Pawłodaru, po drugiej stronie rzeki Irtysz, czyli najpierw przeprowialiśmy się promem a potem jechaliśmy te 40 km.

Miejscowa ludność przyjęła nas nieprzychylnie. Oglądali nas jak zbirów. Większość to byli Kirgizy, ale byli również i Rosjanie, Ukraińcy, którzy prawdopodobnie takim samym sposobem jak my tu przędrowali. Ale niestety oni już byli ustawieni do nas wrogo. Ojciec miał na sobie mundur, który przywiózł mój brat z wojska z 39 roku. Zobaczyli u niego pagony i zaczęli się do nich czepiać, że trzeba je oberwać że nie można tego u nich nosić. Ojciec tłumaczył im, że to jest wojskowe ubranie. Oni zaczęli krzyczeć, że my jesteśmy "ludzkie parabatitele" czyli, że my pracowaliśmy na ludziach, oraliśmy na ludziach.

Oni tak sobie to wyobrażali. To może potem trochę się zmieniło ale do końca dawało się odczuć ich niechęć do nas.

Nie wolno było się nam nigdzie oddalać. Po miesiącu otrzymaliśmy, ci wszyscy, którzy mieli ukończone szesnaście lat-dowody osobiste, ale w tych dowodach było zastrzeżenie, że nie mamy prawa się nigdzie poruszać- nawet do rajonu, nawet do centrali fermy. Tam była poczta. Każdorazowo jak zaczęły przychodzić do nas przesyłki, paczki, to żeby iść po odbiór przesyłki musieliśmy mieć pozwolenie od prezydenta sowchozu.

Przypominam sobie osoby, które wspólnie z nami zamieszkały na tej fermie numer trzy. Byli to: pani Orłowska z dwiema córkami- Zosią i Jadzią, Gołubiewscy- matka, dwóch synów i dwie córki, Niedźwiedzcy- dziadek staruszek, Władysław, Tadeusz- mój kolega, Truszkowscy- właściciele folwarku, to była tylko matka z dziećmi- najstarszy, mój kolega Jurek, Tadeusz, Alina, Marysia, Jadzia, Janek i niemowlę, które potem zmarło. Mieszkała także z nami pani Chrzanowska z Choroszcz- matka i jej wychowanica Ania, pani Markowska -sama, pani Łojewska- dwoje dzieci w tym jedno niemowlę/ te dzieci nie doczekały nawet zimy/ Górcy - matka i syn- rodzina tych państwa Truszkowskich z tego samego folwarku, syn lat 50 matka 80, oboje zmarli, pani Smaktunowicz i jej mąż- staruszkowie. Mieszkali z nami w jednej ziemi.

Przez dwa dni mieszkaliśmy w takim wielkim budynku, niewykończonym jeszcze, nawet bez dachu. Spędzono nas tam wszystkich a potem zaczęto przydzielać mieszkania.

To były ziemiaki, gruba ściana do dwóch metrów, zadanie było tylko takie płaskie. Ziemiaki były bardzo

niskie ale na zimę, trzeba przyznać to było ciepłe. Paliło się tam, kuchnię ulepiliśmy z gliny. Potrafił to robić mój ojciec. Zrobił kuchnie dla wszystkich Polaków i jemu to zaliczono do pracy. Otrzymywał wtedy po 500 gr chleba jako osoba pracująca. Ci, którzy nie pracowali dostawali 200 gram chleba. Swoje rzeczy z Polski zamienialiśmy na żywność.

Ja pasłem krowy. Robiłem też zapasy kiziaku na zimę, który służył nam za opał. To był tzw. głodny step, nic na nim nie rosło, jedynie pasły się na nim krowy. Zbierało się potem to łajno, mieszało razem ze słomą i suszyło na słońcu. To był nasz opał.

Na wiosnę można było nazbierać czosnku, dzikich truskawek.

Ojciec pracował przy sianokosach, pomagał zwozić i zbierać siano.

Do maja był wylew Irtysza do 30 km, woda sięgała aż pod naszą fermę. Potem ta bujna trawa, która wyrosła na zabagnionym po wylewie terenie, była przez nas koszona kosiarkami. Tak szybko trawa odrastała, że kosiliśmy cztery razy. Musieliśmy robić duże zapasy bo ferma miała dużo krow. Musieliśmy odjeżdżać coraz dalej w kierunku Irtysza, praca była bardzo znojna. Dawali nam chleb i ajran. Musieliśmy nocować na tych łąkach. Wszyscy, bez wyjątku zaczęliśmy chorować na malarię. Było to okropne. Po ataku od razu wszystkich pędzono dalej do pracy. Poza tym była bardzo uciążliwa meszka jeszcze gorsza od malarii. Ona wchodziła wszędzie, próbowaliśmy zasłaniać się muslinem, paliliśmy ogień, który pomagał je odganiać. Wszystko to miało chwilowy efekt.

Po ukąszeniu tej meszki wszystko puchło. Smarowaliśmy się dziegciem, olejem odprasowanym, ale to nie pomagało. Poza tym z braku pożywienia rozpowszechniła się gruźlica. Miały ją zwierzęta, udzielała się też ludziom.

Zimą wypędzano wszystkich, którzy mogli pracować na zatrzymywanie śniegu. Polegało to na robieniu takich przyrzęć co jakieś dziesięć kroków na wysokość ~~dziesięć~~ dwadzieścia centymetrów. Składało się śnieg/tego śniegu było bardzo mało, bo wiatr znosił go ze stepu/aby nawodnić pola pod tzw. bagczy -ogrody. Zamiast nawozić to zatrzymywało się śnieg aby nasycić na wiosnę pola. Wtedy tam sadzono ziemniaki, arbuzy i dynie.

Zimą było bardzo niebezpiecznie. Pamiętam jak jedna pani poszła wraz z dziećmi po odbiór paczki na pocztę. Była piękna pogoda. W pewnym momencie rozpuściła się burza śnieżna. Ta kobieta już powracała do fermy. Dobrze trafiła do takiego olbrzymiego stogu siana. Wyrywała to siano i umieszczała w dziurach swoje dzieci, potem weszła tam sama i zatkała otwór. Tak przeczekała 48 godzin. Potem wyszła, zauważyli ich Kirgizi i uratowali. Oni byli bardzo przemarznięci długo potem chorowali.

Z nami mieszkali razem państwo Smoktunowiczowie. Ten staruszek musiał chodzić do pracy mając lat 75. Był ~~to~~ tzw. płotnikiem czyli stolarzem. Wszedł pewnego razu do pracy. Wyglądało to w górze, że jest pogoda i słońce świeci a w dole była silna burza. Momentalnie jak się wychodziło, to cała twarz była oblodzona i pękało ubranie. Zabudowania stały blisko siebie - po kilkanaście metrów. Niestety pan Smoktunowicz zabłądził. Znaleźliśmy go w Wielki Piątek, na wiosnę, kiedy już śniegi tajały. Przyszedł Kirgiz i mówi do pani Smoktunowiczowej - "Twój mąż jest - otam leżył".



Borykał się on prawie cztery kilometry. To była pierwsza ofiara tej zimy. Jak się później okazało takich ofiar było więcej. Przede wszystkim strasznie cierpieli ci, którzy nie zaopatrzyli się w dostateczną ilość opału. Kirgizi mówili, żebyśmy zbierali dużo opału. Potem czasami podbieraliśmy im ten opał w nocy, czasami rozbieraliśmy stare budynki, gdzie było trochę słomy.

Nasza rodzina zaopatrzyła się dobrze, ale niektórzy żyli z nadzieją, że nawet nie doczekają zimy, że pojedziemy z powrotem do Polski. Miejscowi przytykali nam na każdym kroku " Wy polskie pany - jak swojego ucha nie zobaczysz, tak wy i swojej Polsce nie uwidzicie."

Kobiety pracowały jako dojarki. Dawali im po litrze mleka.

Szczególnie ciężko było tym, którzy przed wojną żyli w dobrobycie, np. pani Łojewskiej. Oni mieli przed wojną sklep monopolowy, dobrze im się powodziło i ci dwaj jej synowie nawet nie wytrzymali do zimy.

Przypominam sobie jeszcze jedną ofiarę zimy, pana Jana Górskiego człowieka w sile wieku/ miał niespełna 50 lat/, który wyszedł zimą za swoją potrzebą, odmroził sobie ręce i genitalia, chorował, chorował i wkrótce umarł. Potem taki sam los spotkał i jego matkę.

Pamiętam pojawili się pewnego razu trzej młodzi Rosjanie, bardzo uprzejmi. Zamieszkali wspólnie z panią Ryczanowską w tym samym domu. Byli bardzo mili, pracowali. Pewnego razu dowiadujemy się, że tych chłopców nie ma, zaczęliśmy otwierać mieszkanie, okazało się, że oni zamordowali panią Ryczanowską, zrabowali mieszkanie i uciekli. Zawiadomiliśmy policję. Złapali ich po tygodniu. Okazało się, że byli to przestępcy wypuszczeni

z więzienia. Byliśmy tym bardzo wstrząśnięci, nie mieliśmy większego zaufania ani do Kirgizów, ani do Rosjan. Zresztą nasze stosunki były cały czas wręcz wrogie.

Zimą w związku z tym, że mieliśmy więcej czasu, zapisaliśmy się na kurs traktorzystów-ja, Tadeusz Truszkowski, Jurek Truszkowski, bracia Niedzwiedzcy. Ukończyliśmy ten kurs i na wiosnę zaczęliśmy pracować w innym charakterze. Ja byłem uczotczykiem, zaprawszczykiem i w nocy stróżem. Musiałem zaopatrywać wszystkie traktory w paliwo i rozliczać to paliwo/zaprawszczyk/, wyliczać ich pracę /uczotczyk/ a w nocy pilnowałem zboża. Kombajny zbierały zboże, potem było ono sypane razem z plewami na sterty. W nocy nas wszystkich ni stąd ni z owąd budzono i trzeba było łopatomi przewracać to zboże. W nocy były wahania temperatury. To zebrane zboże paliło się. Trzeba je było szybko mieszać bo inaczej powstawał samozapłon.

Nie było nam wolno zbierać kłosów. Od razu nas uprzedzili, że za zbieranie kłosów grozi rok więzienia. Nocą kradliśmy to zboże - do kieszeni, do zawiązanych nogawek. Przynosiliśmy to wszystko daleko za posesję i zasypywaliśmy i robiliśmy sobie zapas na zimę. Kto takiego zapasu nie miał - cierpiał głód, puchł i umierał. Zimą braliśmy sanki i nocą przewoziliśmy to zboże. Mieliliśmy z niego mąkę.

Do wybuchu wojny dostawaliśmy paczki. Paczki były przysyłane do jednej rodziny raz na miesiąc. Moja rodzina była tak staranna, że stryj jeździł do innych miast i stamtąd wysyłał nam paczki. Dostawaliśmy więc paczki z różnych miast. Przekupywał pracowników na poczcie i dzięki temu dostawaliśmy dużo paczek.

Chętnie podjąłem pracę tego stróża, żeby ułatwić kradzie

Było duże marnotrawstwo i chaos. Marnowały się potężne ilości plonów. Sto kilometrów od nas była kopalnia soli a przecież zdażały się długie tygodnie, w ciągu których nie mieliśmy soli takie tam były porządki.

Sto kilometrów od nas była kopalnia złota. Kiedyś ją zwiedzałem i zauważyłem na kieratach, które były używane do mielenia tej złotej rudy polskie napisy. To były kieraty z Kutna, jeszcze za carskich czasów przywiezione do tej kopalni.

Latem wywożono nas o 40 km na tzw. dekane. Tam miały być rozpoczęte żniwa. My mieliśmy przygotować budynki dla tych wszystkich, którzy tam będą pracować podczas żniw-traktorzystów, kombajnistów itp. Pewnego razu byliśmy tam przez tydzień. Nie dowieźli nam żywności. Zostawili nas, wyjechali wszyscy i zostawili nas na pastwę losu. Czekaliśmy pół dnia aż w końcu postanowiliśmy pójść pieszo. Wędrowaliśmy 40 km. Szliśmy dwa dni.

Pewnego razu, zimą byliśmy z ojcem 30 km od sowchozu. Tato stawiał tam piece. Nie mieliśmy dwa dni nic do jedzenia. W końcu powiedziałem, że nic już nam nie przywiezą i musimy wracać. Wybraliśmy się i tak wędrowaliśmy obrawszy jeden kierunek. Mieliśmy dobre kożuchy jeszcze z domu. Wyszliśmy na inną fermę. Głodni wędrowaliśmy całą noc. Pamiętam jak wywracałem sobie wszystkie kieszenie, żeby znaleźć choć kilka ziarenek. Znalazłem pestki słonecznika i dzieliłem się tym z ojcem. Mróz był ponad 40-sto stopniowy. Przyszliśmy rano. Ten uprawiający nam powiedział: "Was sudzić nada, wy brasili rabotu, my by wam dowieźli jedzenie?" Raz tak się złożyło, że musieliśmy przywieźć to schowane zboże. Podpatrzyli nas Kirgizi. Rano przyszli i zrobili

rewizji. To był pretekst do aresztowania ojca. Ojca aresztowali, zostałem głową rodziny. Ojca zawieźli do Pawłodaru. Przesiedział niecały rok w więzieniu. W roku 1942 wyszła amnestia.

Moji koledzy namawiali mnie, abym uciekał do Polski. Przemyslałem tę sprawę i nie zgodziłem się na to. Wiedziałem, że jestem odpowiedzialny za całą rodzinę. Nie dałem się namówić.

Jurek Truszkowski uciekł. Przyjechał do Polski i przysłał nam list. Zaczął się trochę pokazywać. Niestety NKWD go aresztowało w Grajewie i deportowało z powrotem do Pawłodaru. Tadeusz jego młodszy brat też uciekł, ale zginął po drodze bez żadnej wieści. Nie słyszeliśmy więcej o nim.

Jurek opowiadał swoje wrażenia z drogi. Jechał na gapę, nie pokazywał się w większych skupiskach ludzkich.

Pewnego razu już po amnestii zauważyliśmy idących drogą dwóch oberwańców. Jednym z nich był mój ojciec, drugim kolegą - Jurek Truszkowski.

Ojciec natychmiast rozpoczął starania, żeby wyjechać ponieważ po umowie Sikorskiego dostaliśmy pozwolenie, że możemy mieszkać w innych miastach. Wyjechaliśmy wówczas do Pawłodaru. Ojciec znalazł mieszkanie u takiej Rosjanki, której mąż wyjechał na front. Ona chętnie nas przyjęła. Potem znaleźliśmy inne mieszkanie na ulicy Stepowej 145.

Zacząłem pracować w kuchni jako mołotobojec. Ojciec zaczął pracę w komitecie. Powstawały komitety. Pomoc przyjechała z zagranicy - z Ameryki, Anglii. Mo na było wykupić nasze przydziały w sklepie - chleb albo mąkę. Głód zaczął coraz bardziej dotaczać Polaków ponieważ rozpoczęła się wojna i przestały przychodzić paczki z kraju. Te, które były w drodze to jeszcze doszły ale potem ta pomoc się urwała. Wszystko co mogliśmy spieniężyć to szybko poszło. Ten rok był wyjątkowo nieurodzajny. Panował głód. Poprzedni rok był bardzo obfity i zebrano dużo zboża ale coś z tego - niewiele ja przechowywano

i się zmarnowało.

Potem zacząłem pracować w Komitecie. Komitet tworzył polskie przedszkole. Pracowałem jako stolarz. Razem ze mną pracował starszy pan z Wilna, który nazywał się Piotr Gołubiew - kapitan wojska polskiego w stanie spoczynku. Mieszkał z nami. Ten pan starał się podsycać we mnie ducha patriotycznego. Czytaliśmy książki, rozmawialiśmy z Polakami, którzy byli w powstaniu styczniowym. Rodziny ich były zesłane.

Spotkałem tam pana Oleszczuka, pracowałem razem z nim, pochodził z Lublina. Marzył on o tym, żeby chociaż swoje kości złożyć w polskiej ziemi.

Obok mieszkała Tatarka. Była ona bardzo bogata przed wojną. Należało do niej pół Pawłodaru. Była to bardzo miła i inteligentna kobieta. Żyliśmy z nią bardzo dobrze. Ona miała krowę, z opatrywała nas w miękko. Tatarzy byli bardzo serdeczni dla Polaków i dużo pomagali.

Z Białegostoku była rodzina Kitkasów - matka i syn. Przypadek sprawił, że spotkali własnego krewnego - stryja, który kiedyś był zesłany.

Pracował no tam gdzie ja czyli w wojewódzkiej kolumnie samochodowej. Ta praca była dla mnie bardzo ciężka, szczególnie w zimie.

Poszliśmy razem ze swoim kolegą na kurs kierowców samochodowych i ja na wiosnę byłem zatrudniony w charakterze pomocnika kierowcy. Jeździliśmy po samochodach, zwoziliśmy zboże, przewoziliśmy różne ładunki, czasami bardzo daleko - jeździłem w komandówkę aż do Tobolska. To było więcej niż 500 km. Stamtąd przywoziliśmy drewno a woziliśmy węgiel. Tam już była tajga.

Spośród wszystkich ludzi, którzy mieszkali w ~~nasz~~ - naszej fermie, tylko my przeprowadziliśmy się do miast, a reszta została tam do końca, do powrotu w roku 1946.

Jesienią, ja i moi koledzy - Jurek Truszkowski, Tadeusz Niedzwiedzki, zostaliśmy powołani do armii Andersa.

Pawłodar był skupiskiem Polaków. Funkcjonowały polskie szkoły. Mój brat i moja siostra chodzili do szkoły polskiej. Było też przedszkole dla wszystkich pracujących matek.

Moi koledzy pojechali innym sztafem, ja innym. Jechaliśmy bardzo długo, przez Omsk do Ałma-Aty. Przyjechaliśmy do dziesiątej dywizji, która stała tam dosyć długo. Ale los pokierował mną inaczej. Przeszedłem tylko trochę przeszkolenia i zachorowałem na tyfus. Była duża epidemia. Codziennie umierało wiele osób.

Dowódcą kompanii był kapitan Tyszkko. Jednym dowódcą dywizji był Wilk a drugim Chałupa-pułkownicy.

Były ciężkie warunki. Mieszkaliśmy w namiotach, w których w nocy było zimno a w dzień dręczył nas upał.

Po tym jak zachorowałem przesłano mnie do stacji kolejowej Merki. Tam leżałem dość długo. Podczas mojej choroby nastąpił wyjazd armii do Iranu. Ja zostałem. Przeniesiono mnie do miejskiego szpitala.

Po wyjściu ze szpitala zaproponowano nam pracę na miejscu. Podziękowaliśmy i odebraliśmy swoje dokumenty. Musiałem powrócić na własną rękę do rodziny, do Pawłodaru. Podróżowałem bardzo długo. Jechałem pociągami przeważnie towarowymi, na gapę. Kilka razy byłem wyrzucany. Złapał mnie taki konduktór, wyrzucał kilka razy ale znowu czepiałem się wagonów i jakoś jechałem. Dojechałem przez Ałma-Atę do Siempałacińska. Tam zacząłem pracować, żeby zarobić na bilet. Zauważyłem, że jestem opuchnięty z głodu. Po Irtyżu kursowały statki, musiałem zarobić na bilet na statek. To była najkrótsza droga. Podróż trwała kilkadziesiąt dni. Byłem bardzo osłabiony z głodu. Niektórzy Rosjanie widząc jak jestem wycieńczony, dzielili się ze mną ostatnim kawałkiem chleba.

Jakoś dojechałem do Pawłodaru, niesamowicie zawszawiony, obdarty, sprzedałem z siebie wszystko, co tylko mogłem sprzedać z ubrania. Matka mnie nie poznała.

Placówka naszego konsulatu w Pawłodaru została zlikwidowana,

Pracownicy, którzy tam pracowali, stracili pracę. Był wśród nich i mój ojciec, który był tam woźnym.

Dowiedział się o tym prześladowca ojca z fermy nr. trzy, taki uprawiajuszczuj i powiedział do ojca "A ty swołocz jeszcze chadzisz na wolności? Ciebie nada w tiurnu!". I tak było. Zawiadomił NKWD, że mój ojciec jest niebezpiecznym człowiekiem, że już siedział w więzieniu i trzeba jego w dalszym ciągu pilnować. Mojego ojca aresztowano. To było w sierpniu. Znowu zostałem głową rodziny.

Mojego ojca sądono. Został skazany na pięć lat więzienia, na mocy "statii 145" tzn. wróg narodu. Wywieziono go do Pietropawłowska i już potem nie mieliśmy więcej o nim wieści. Więcej go nie widzieliśmy, zginął bez wieści w łagrze.

Ja natomiast 17 września w 1943 roku zostałem powołany drogą mobilizacji do armii kościuszkowskiej. Zostałem już przyjęty jako stary żołnierz mając lat dziewiętnaście. Wcielono mnie do drugiej dywizji imienia ~~Hendryka~~ Dąbrowskiego w Sielcach nad Oką, do kompanii dywizyjnej jako kierowca samochodowy.

Było tam różnie. Z początku przechodziliśmy okres rekrucki. Większość to byli Polacy ale brali również takich, którzy mieli tylko polskie nazwiska, ale po polsku nie umieli mówić ani nie czuli się Polakami.

Wtedy kiedy pierwsza dywizja wyjeżdżała na front wszystkim zapowiedziano, że nikt nie może oddalać się od sztafonu, jeżeli ktoś się oddali to czeka go sąd polowy. Wśród tych żołnierzy pierwszej dywizji byli jednak tacy, którzy złamali ten zakaz. Nie wiem może chcieli podać ostatni list lub paczkę do rodziny. Zebrali takich dziesięciu, postawili przed frontem dywizji i wszystkich rozstrzelali. Był sąd polowy, sądzili NKWD-ziści. Ja osobiście kopałem doł dla jednego z kolegów. Nie wiedzieliśmy nawet w jakim celu kopujemy te doły, dopiero potem dowiedzieliśmy się, że to będą rozstrzelani ci ,\*

którzy oddalili się na kilka chwil. To było takie zastraszenie przed wyruszeniem na front.

Ja byłem w kompanii samochodowej. Warunki były nie najgorsze, woziliśmy prowiant, amunicję na front. Wyżywienie nie było złe, mieszkaliśmy w ziemiankach. Braliśmy udział w zaopatrzeniu wojska pod Smoleńskiem.

Mój dowódca Baranowski jakś mnie polubił. Ja nie byłem dobrego zdrowia, często chorowałem, leżałem w szpitalu. On powiedział mi, że jest okazja i mogę iść na oficerską szkołę samochodową. Zdecydowałem się na to szybko. Podziękowałem mu. Dostałem skierowanie do tej szkoły. Ona była w Riazaniu.

W szkole były dwie kompanie Polaków. Bardzo dużo było Żydów. Po ukończeniu tej szkoły niektórzy zdradzili wojsko polskie i wyjechali do Palestyny jak np. pułkownik Pejzler.

W 1944 roku otrzymałem stopień podporucznika i dostałem przydział z początku do Żytomierza - staliśmy tam w rezerwie dwa tygodnie, potem przyjechaliśmy na tereny polskie - do Lublina. Jeszcze były naloty, spotykaliśmy Niemców.

Dostałem przydział do pierwszego pułku samochodowego. To była największa jednostka taktyczna samochodowa w wojsku polskim. Byłem dowódcą plutonu samochodowego. Szkoliliśmy rekrutów, szkoliliśmy kierowców, niektórzy dostawali szybkie awanse, nawet po kilka w ciągu roku np. pułkownik Zaks - b -.

Byli tacy, którzy zostali wcieleni z AK. Obserwowano ich. Pamiętam był taki kapitan Strzebiś - Suchodolski pewnego razu zaginął bez wieści i nie można było się o niego dopytywać.

Wtedy kiedy Warszawa krwawiła nasz pułk został przerzucony do Bembertowa i tam staliśmy.

Wiem, że generał Berling chciał iść na pomoc Warszawie, nawet niektóre pododdziały zostały przerzucone, ale rozkaz naczelnego dowództwa



spowodował wycofanie Berlinga na akademię wojenną do Moskwy a wodzem został Żymirski.

Pewnego razu podeszło do mnie dwóch kolegów z tej samej miejscowości, starszy szeregowy i szeregowy, Adam Piotrowski i Janek Brochowski-jego właściwe nazwisko brzmiało Pobrowolsko. Zauważyłem, że są bardziej inteligentni niż reszta. Zaproponowałem, żeby poprowadzili za mnie musztrę. Zgodzili się na to. Dogadaliśmy się, że jesteśmy z tych samych okolic. Po chwili zdecydowałem się zadać im pytanie kim oni właściwie są. Piotrowski powiedział mi, że jest oficerem. Janek ~~ta-ż-~~ też był oficerem. Byli oni w Ak. Zostaliśmy kolegami. Okazało się, że oni kończyli podchorążówkę w Zambrowie Ostrowie-Komorowo. Tam dostali stopnie oficerskie. Przez cały czas należeli do AK. Potem ujawnili się obaj, dostali stopnie podporuczników.

Do chwili obecnej spotykam się z Adamem, który mieszka w Warszawie, jest majorem w stanie spoczynku.

Po wyzwoleniu Warszawy, Bydgoszczy byłem w przyfrontowym punkcie ewakuacyjnym jako dowódca plutonu. Dowódcą kompanii był Rosjanin-Glinow. Powiedział "Ja tu będę na miejscu, będę dowódcą a na front to ty Marian idź bo to jest twoja Polska."

Byłem dowódcą plutonu sanitarnego. Zbieraliśmy rannych i dowoziliśmy ich do szpitala polowego. Ciężko rannych transportowaliśmy samolotami do Poznania.

W dniu 20 kwietnia 1945 roku na trasie Gorlitz-Cottbus zostałem ranny.

Dzień zakończenia wojny był bardzo radosny. Ci wszyscy ranni nie wiedzieli co się dzieje, myśleli, że znów jesteśmy w okrążeniu. Ze wszystkich stron strzelano. Byliśmy zdezorientowani, dopiero po godzinie dowiedzieliśmy się, że to koniec wojny. Ale niektórzy jeszcze w to nie wierzyli, zabrali swoje kule i broń, i uciekali do lasu.

Po wojnie nie zrobiłem kariery wojskowej. Nie byłem błogonałojny

W mojej opinii z dowództwa okręgu było napisane, że nam wrogi stosunek do Związku Radzieckiego. Pracowałem w dowództwie okręgu, w szefostwie służby samochodowej. Stamtąd dostałem od generała Rodkiewicza taką opinię. Byłem całkowicie zdyskwalifikowany. Przerzucono mnie na zachód, do pułku zmechanizowanego w Korzuchowie jako szefa służby samochodowej. Po roku czasu dostałem następny przydział do Gniezna. Tam długo nie pracowałem. Zwolniono mnie. Napisano, że na prośbę mojej matki, która złożyła podanie jeszcze w 1945 roku.

Odszedłem do cywila. Mama, którą miałem, postrzał zaczął mi dokuczać. Powrócił tutaj na chwilę do okresu sprzed zsyłki, kiedy do Polski wkroczyli Rosjanie. Myśmy mieszkali na kolonii. Przyjeżdżał do nas zawsze taki komandir NKWD - zista i obserwował - bo oni obserwowali niektóre domy, szczególnie kolonistów - kto ma z kim jakąś łączność i tak dalej. Nawiazywali chętnie rozmowy, chcieli się dowiedzieć kto jest jakich zapatrywać.

W 1939 roku był straszny mróz, zima była ciężka. Ci bajcy budowali. Wypędzali mężczyzn, między innymi mojego ojca i stryja, żeby wozili furmankami kamienie i budowali bunkry, wzdłuż granicy, bo myśmy mieszkali na samej granicy, niemieckiej, dawniejszej. Wyrabowali las, robili otwarte przestrzenie.

Bojcy przychodzili czasami i zwierzało się nam. Dziwili się, że nam się tak dobrze żyje, pytali skąd mamy tak dużo bytności i sprzętów. Wtedy kiedy oni przychodzili pojedynczo to można było się od nich dowiedzieć. Mówili z nami - zwłaszcza starsi byli bardziej otwarci, młodzi raczej nie kontaktowali się z nami. Starsi zaczęli nam opowiadać że to wszystko nieprawda, że można zdobyć wykształcenie, że oni wszystko mają. Byliśmy wii zorientowani jakie oni mają plany wobec nas a kiedy aresztowali mojego brata to wizja zsyłki zaczęła być całkiem realna.

Stosunek ludności miejscowej do Rosjan był negatywny chociaż trzeba było zachowywać pozory. Przede wszystkim ich zwolennikami byli

Żydzi. Oni objęli policję. Oprócz tego byli Żydzi, którzy należeli do organizacji komunistycznych przed wojną. Między innymi jechała z nami w transporcie Sara. Ona się cały czas nam odgrażała w wagonie, że ona jak zajdzie to dopiero nam wszystkim pokaże, że ją i tak wypuszczą, bo ona ma legitymację. Pewnego razu wyszła nawet do NKWD-isty i pokazała mu tę legitymację. A on jej powiedział "Ty taką sama swolocz jak i oni, jeszcze chuzę bo na nich skarżysz, mołczy". W ten sposób uspokoił ją i była już spokojniutka.

Później spotkałem ją w Pawłodarze. Powiedziała mi: "Oj Marian, ty wiesz coś z moim tatą i mamą? Oj oni nie żyją! Cyganka wyjechała" / Cyganka miała obywatelstwo palestyńskie i interwencja dyplomatyczna sprawiła, że zabrano ją z Syberii/. Sara mówiła dalej: "Oj, moi tata i mama pomierli z głodu, oj jaka ja była głupia, jaka ja była głupia, ja już mam dosyć tej komuny! - ". A tak się nam przed tem odgrażała. Opowiadała mi i mojemu koledze, że oni się spotykali pomiędzy Szczuczynem a Wasoszem na zebrania komunistyczne, operowała nazwiskami/ jakiś Mudej i inni/.

W wagonie panowała duża solidarność. Dzieliliśmy się wszystkim. Pamiętam taką kobietę już w Pawłodarze, która była z dzieckiem, żoną policjanta. Wyliśmy się wszyscy i ktoś zostawił kawałeczek mydła. Ona podeszła i wzięła go. Mama widząc, że ona chodzi tak z tym dzieckiem i nic nie szykuje sobie do jedzenia, więc zaprosiła ją, żeby zjadła z nami. Ta kobieta opowiadała, że jej nie pozwolono widać niczego, cały czas żyła tym chlebem i zupą, które dawali podczas transportu.

Przed wszystkim w transporcie znalazły się rodziny policyjne, emeryci policjanci, inteligencja-nauczyciele/ np. państwo Załuscy ze Szczuczyna/, Ale znalazła się także wśród nas rodzina wyrobnicza, o której wspominałem. Prawdopodobnie/ mówił mi o tym mój kolega Domek, który potem zginął przy zwózce siana/ powodem był przynależność ojca do narodówki. Niektórzy trafili tam w wyniku donosów.

W 1941 roku nastąpił kolejny wywóz. Okazało się, że na listach było bardzo dużo osób. Rodziny kolegów i koleżanek mojego brata, którzy wtedy protestowali też zostali wywiezieni.

Wspominałem o tym, że pozwolono mi zabrać rower. Rower ten został polamany w transporcie ale jakoś go zreperowałem. Ratował mi niejednokrotnie życie, ponieważ nas często wypędzano daleko od fermy. Brałem rower ze sobą i dzięki temu mogłem wracać do fermy. Kto wie czy bez niego potrafiłbym wrócić do domu. Pierwszy raz jak wracałem pieszo to potem dwa tygodnie leczyłem nogi. Miałem tak podobijane i odparzone stopy, że musiałem lecieć.

Po drugiej zimie, która była bardzo mroźna dostałem tak silnego bólu nóg, że w ogóle nie mogłem się poruszać. Wyłem z bólu, ponieważ tak mnie bolały kolana. Zrobiłem sobie kule o których chodziłem pół roku, dopiero na wiosnę lekarz stwierdził, że to z braku witamin.

Przed wszystkim chorowaliśmy wszyscy na tzw. cynę, czyli szkorbut. Tylko na wiosnę mogliśmy zdobyć jakieś witaminy.

Dopiero w Pawłodarze było coś na kształt regularnej opieki medycznej. W kołchozie przyjeżdżał czasami lekarz. Nawet nie dawał on zwolnienia pomimo, że ludzie byli ciężko chorzy np. na malarię. Dużo osób chorowało na gruźlicę.

Po poprawieniu stosunków i umowie Sikorskiego ze Stalinem zaczęła funkcjonować instytucja mężów zaufania, którzy rozdzielali zagraniczne dary. Czasami się domagali tych darów Polacy, których rodziny zostały zesłane po powstaniu styczniowym jak np. ten pan Cleszczuk który mieszkał z nami. Czasami więc też wciągało się ich na listę.

Faniłtau jak raz przyszedł transport cukru i rozładowywaliśmy wagony, nocą. Każdy z nich dostał po kilogramie cukru i każdy zjadł go od razu.

Do czasu Pawłodaru nie było żadnej szkoły. Dzieci także czasami musiały pracować. Moja młodsza siostra chodziła zimą na wypędzanie

śniegu.

W Pawłodarze zaczęto organizować szkoły i przedszkola. Prowadził polski chór. Moje rodzeństwo chodziło do szkoły. Jak mnie zabrali do wojska mój brat, wówczas dwunastoletni, musiał bardzo ciężko pracować. Jeździł po drzewo, rąbać je. Pewnego razu zimą o mały włos nie zginął w burzy śniegowej. Przyjechał bez niczego.

W kolchozie obchodzono tylko święta pierwszego maja. Funkcjonowała tam piątdniówka czyli co piąty dzień był wychadnoją, wolny od pracy, oczywiście tylko w teorii.

Wszystkie święta religijne obchodziliśmy we własnym zakresie.

Na Syberii mieliśmy własny cmentarz. Chowaliśmy często ciała bez trumny bo nie było desek. Chowaliśmy je dość prętko ponieważ ziemia była bardzo zmarznięta. Potem na wiosnę wykopywaliśmy i chowaliśmy po raz drugi.

Stosunki z Kirgizami układały się całkiem nieźle. Był to bardzo dziwny naród. Jak zachodziłem do nich do mieszkania to byłem gościem, jak wychodziłem na zewnątrz to byłem już wrogiem, mogli mi wsadzić nóż w plecy. Jednak mimo wszystko Kirgizi bardziej nam współczuli. Rosjanie podchodzili do nas z wyrachowaniem, zależało im przede wszystkim na tym, żeby coś od nas kupić, coś nam sprzedać. Kirgizi okazywali bardzo swoją gościnność. Kilka razy jeździłem do Pawłodaru i zatrzymywałem się u nich to zawsze ugościli mnie czym tylko mogli.

Bardzo ostro reagowano na kradzieże. Władze szukały byle pretekstu żeby oddać nas pod sąd. Miałem bardzo dużo kłopotów kiedy byłem tym zaprawszczykiem. Musiałem dowozić wodę i paliwo. Traktor stanął na jednym końcu pola trzeba było zawieźć do niego paliwo. W tym czasie wykradzili mi benzynę. Zaczęto mnie straszyć, że pójdę pod sąd, że brakuje mi paliwa, co ja z nim robię. Ja mówię, że jest taka sytuacja - wyjeżdżam na jeden koniec pola a na drugim nie okradają, przyjeżdżają traktorzy-

-Sci i mnie nie ma a oni biorą paliwo. Po zakończeniu prac polowych okazało się, że mi brakuje kilkaset litrów paliwa. W końcu znalazł się taki porządny Kirgiz buchalter, któremu przedstawiłem sprawę. Stwierdziłem, że nie miałem możliwości pilnowania co się dzieje na jednym końcu pola będąc na drugim, dowoziłem im paliwo, żeby zachować ciągłość pracy. Powiedziałem, że tak zeznam na sądzie. Wtedy oni rozważyli sobie to wszystko, obliczyli ilość oszczędności u traktorzystów/u nich wypadła oszczędność a u mnie braki/zrekompensowali to wszystko i nareszcie był porządek.

Oprócz tej miałem jeszcze jedną podobnie przykrą sytuację. Na jesieni było oranie pola. Usiadałem na traktorze z tyłu regulować głębokość skib pługiem i włączać i wyłączać pług przy zakrętach itp. Ta praca była bardzo męcząca. Wykonywało się ją w nocy, brzozy osiągały długość pięciu kilometrów, trzeba było cały czas monotonnie jechać. Pewnego razu traktorysta powiedział mi, że bym to ja kierował a on się trochę prześpi. Zgodziłem się na to i powiedziałem, że teraz ja będę jechać a potem się wymienimy i ja się zarzemnę. Jechałem tak ale po pewnym czasie ta jednostajność mnie usypiała. W pewnym momencie ocknąłem się i za mocno chwyciłem drążki sterownicze. Pług przy takim szybkim zakręcie przewrócił się i połamał. Ostatecznie jednak nie ja odpowiadałem lecz ten kierowca. Powiedziałem mu co się stało. W końcu postanowiliśmy, że powiemy, że pług wpadł do dołu. Znaleźliśmy najgłębszy dół na polu i tam wstawiliśmy ciągnik i jakoś nam się udało to wszystko załagodzić.

Najgorsza była ta stała nostalgia. Każdy świsł wagonu przypominał nam transport i zdawał się być zwiastunem powrotu do kraju.

Zostali tam tylko Białorusini. Oni nie pisali w dokumentach, że są obywatelstwa polskiego i potem byli potraktowani jako obywatele ZSRR. Znam nawet takich Płaków, którzy licząc na jakieś względy

zadeklarowali się, że są Białorusinami i potem bardzo żałowali tego, bo nie mieli prawa powrotu.

Wubylcóm żyło się o tyle lepiej, że mieli zwierzęta.

Gdy zobaczyłem ich po raz pierwszy to rozpoznałem, korzystając z atlasu świata, że oni są Kirgizami. Powiedziałem do nich: " Wy jesteście Kirgizy". Oni odpowiedzieli, że nie, i że " tak nie można mówić". To ja zapytałem kim oni w takim razie są. Oni na to " My nie Kirgizy, my Kazachi". Nie wolno było używać tego słowa, Kirgistan był osobną republiką a oni tutaj byli Kazachami. Potem ci starzy, w zaufaniu opowiadali jak to było za cara, jak im było dobrze. Mieli olbrzymie stada koni i bydła. Nie umieli liczyć, więc zapędzali swoje stada w specjalne ogrodzenia. Jeżeli całe się zapędzili to znaczyło, że wszystko w porządku, jeżeli było wolne miejsce, to wyruszali na poszukiwanie zaginionych sztuk. Byli bardzo zadowoleni z poprzednich czasów.

Obserwowałem pewnego razu polowanie na wilki. Odbywało się ono bez użycia broni ~~ga~~ a przy pomocy broni. Wyruszało dwóch jeźdźców. Kiedy spostrzegli wilka to pędzili za nim. Mieli ze sobą długie tyczki, na szczycie jednej z nich była wystrugana z drewna i zamocowana kula ~~w--kaszanie~~ wielkości arbuza. Pędzili wilka tak długo aż on się zmęczył. Wtedy kiedy wilk był już zmęczony jeden z nich dawał mu do pyska ten kij ~~z--kula~~. Chodziło o to, żeby wilk stał na miejscu. Wtedy ten drugi zabijał go tą tyczką zakończoną arbuzem. Kilka razy widziałem jak przywożono wilka zabitego w ten sposób.

Wilki czasu mi przychodziły bliżej i porwały zwierzęta. Sam kilka razy musiałem bronić stada przed nimi. Zresztą stado miało własną, opracowaną metodę obrony przed napadem. Wszystkie cielęta wchodziły do środka. Krowy ustawiały się rogami do napastnika, tworząc koło. Odpędzały rykiem wilki.

Konie były wróćwione w podobny sposób, nigdy nie podnosiły głowy, bo wtedy wilk chwytał za gardło, tylko stawały tyłem i starały się trafić wilka kopytami.

Kirgizi mówili ze smutkiem: "Ransze był ja Kirgiz, jeł machan, pił kumys, tepier stał Kazach i propał kursak" tzn. że wcześniej miał mięso i kumys a teraz nie ma nawet brzucha. Starzy nie lubili tej władzy. Cóż innego młodzież, ~~cała~~ ona była już przeszkolona, mówiła po rosyjsku a ci starzy Kirgizi prawie wcale nie potrafili się porozumieć po rosyjsku.

Rosjanie wciąż nam wyrabiali, że za darmo jemy sowiecki chleb. Już pierwszego dnia, po przyjeździe, uprawiający powieźdzał nam, żebyśmy zapomnieli o Polsce, teraz będziemy musieli tu pracować, tu żyć i tu umierać. Na każdym kroku odczuwało się wrogi stosunek do nas.

Nie wszystkim Polakom udawało się przenieść do większych miast. Warunki mieszkaniowe były ograniczone a poza tym władze niechętnie puszczaly swych pracowników z sowchozów czy kołchozów.

Chciałem powrócić na chwilę do warunków bytowych. Kiedy wybuchła wojna rosyjsko-niemiecka powstały wielkie braki, nawet nie było zapalek. Ludzie musieli się cofnąć do czasów krześiwa. Jako że był to sposób trudny to najczęściej rano sprawdzaliśmy z którego końca leci dym. Robiliśmy taką puszkę z konserwy z otworami, zaczepioną na sznurek lub drut i rano chodziliśmy z taką puszką po ogień do miejscowych. Wkładało się go do puszki, mieszało z kiziakiem i w ten sposób przenosiło się go.

Jeżeli chodzi o oświetlenie to robiliśmy tzw. kopciłki. W taki kałamarz nalewało się naftę/tej nafty było sporo bo wszystkie ciągniki i traktory pracowały na nafcie/, kawałek rurki metalowej np. z klucza, knot ze sznurka i to było nasze oświetlenie.

Na początku musieliśmy zrobić remont całego mieszkania. Ściany mazaliśmy gliną rozrobioną z łajnem, następnie bieliliśmy. Najgorsze



były pluskwy i pchły. Pluskwy wchodziły we wszystkie zakamarki i nie sposób ich było wytępić a pchły przynosili Kirgizi. Kirgizi przychodzili przede wszystkim wtedy gdy przychodziły jakieś paczki. Wyrwali nam wszystko z rąk. Najczęściej zbierało się ich z dziesięć osób bo więcej nie mogło się pomieścić. Jakie było na to lekarstwo - otóż dowiedzieliśmy się, że oni nie spożywają wieprzowiny. Mama brała więc patelnię i podnosiła ją wraz z kawałkiem jakiejś skórki. Wtedy oni z okrzykiem "czuszka dżaman" uciekali z mieszkania.

Myśmy nie mieli takich oporów np. przed jedzeniem koniny. Mieliśmy takie marzenie żeby najeść się do syta. Pamiętam małe dzieci, które siedziały i wyglodniałym wzrokiem obserwowały ruchy matki, czy przypadkiem nie pojawi się coś do jedzenia.

Z niedojadania pojawiały się różne choroby np. cynga o której wcześniej wspominałem a w większości starców zachorowała na tzw. kurzą ślepotę. Wieczorem nie wychodzili, o zmierzchu już nic nie widzieli i byli skazani na siedzenie cały czas w domu.

Wspominałem już, że Kirgizom było o tyle lepiej, bo mieli zwierzęta. Tych zwierząt w ogóle nie szanowano np. byki które były wprost nieodzowne przy pracy stały na dworze przy mrozie czterdziestostopniowym, przy zawiejach śnieżnych. Tylko było ogrodzenie ze słomy zlepionej nawozem, całą zimę stały pod gołym niebem.

Nie było żadnego ptaka oprócz sroki. Te woły, kiedy były poganiane to bito je plecionym batem, miały podbijane grzbiety aż szła krew. Powstawały rany. Przylatywały sroki i one dziobały żywcem te zwierzęta.

Wróć teraz na chwilę do wspomnień związanych z pobytami w oficerskiej szkole samochodowej w Riazaniu. Językiem wykładowym był rosyjski. Wykładowcami też byli Rosjanie. Wewnątrz była komenda po polsku ale jak przychodził jakiś oficer to trzeba było meldować po rosyjsku. Rano rozpoczynał się dzień od pobudki, potem

gimnastyka i oczywiście hymn Sojuza. Wszystko odbywało się zgodnie z regulaminem.

Przypominam sobie jak pewnego razu mój kolega, straszną gapa zgubił pistolet ćwiczebny. Plac ćwiczeń był oddalony o półtora km. od naszej szkoły. Codziennie rano przed zbiórką musieliśmy biec na ten plac i macając trawę po kilka metrów kwadratowych, szukać tydzień tego pistoletu. Mój kolega miał wiele nieprzyjemności z tym związanymi.

Każdy starał się jak najszybciej skończyć tę szkołę. Pomagaliśmy sobie wzajemnie w nauce.

Byłem oficerem zawodowym do 1953 roku. Nigdy nie należałem do partii. Zresztą jak mogłem należeć skoro ojciec mój został zamordowany w Łańcuchach, rodzina przebywała na Syberii do 1946 roku, starszy brat był uwięziony do czasu wybuchu wojny ros.-niemieckiej.

Po powrocie nadal byłem chory na malarię. Ostatni atak miałem w maju. Byłem tak zahartowany, że nie odczuwałem chłodu - ludzie chodzili w paltach a ja w mundurze.

Mama wróciła na nasze gospodarstwo. Jednak w związku z tym, że nie było komu na nim pracować /młodsze rodzeństwo zaczęło chodzić do szkoły, ja byłem cały czas w wojsku, brat Antoni wyjechał do Krakowa i tam rozpoczął studia /oddaliśmy gospodarstwo rodzinie i mama wyjechała do brata.

Będąc daleko od ojczyzny staraliśmy się zachować polskość. Zbieraliśmy się, żeby spiewać pieśni /w maju np. litanie religijne / lub, żeby wspominać. Potem gdy już niektórzy młodzi tubylcy opanowali język polski te nasze spotkania musiały przebiegać w tajemnicy ponieważ oni przychodzili nas podsłuchiwać. Zresztą niektórzy z nas świetnie nauczyli się mówić po kirgiskiu jak np. mój kolega Romanowicz. On służył nam za tłumacza. Kiedy miejscowi przychodzili ubić z nami jakiś interes jego pomoc była wręcz nieodzowna.

Pamiętam taką komiczną sytuację, która miała miejsce podczas naszych wymian handlowych. Jedna pani miała ze sobą nocnik dla swoich dzieci. Ten nocnik sprzedawała Kirgizce. Pewnego razu poszła do niej kupować zsiadłe mleko i zobaczyła, że to mleko jest w tym właśnie nocniku. Powiedziała więc, że przyjdzie drugim razem. Ale nocnik został ulubionym naczyniem Kirgizki i zawsze mleko było właśnie w nim.

Kirgizi nie brzydzą się niczego. Pojechaliśmy pewnego razu na sianokosy. Oprócz chleba gotowano zupę. Potopiły się w tym garnku szczury. Kiedy pokazało się w garnku dno i te szczury Kirgiz wyciągnął je za ogon, pokazał wszystkim. Absolutnie się nie przejął.

Kirgizi np. zdejmowali z siebie koszulę i te wszy, które gromadziły się na szwach, brali w zęby, ssali krew i wypluwali. Uważali po prostu, że to ich krew. Dlatego staraliśmy się u nich nie nocować jeżeli nie musieliśmy koniecznie. Jeżeli się do nich zaszło to zawsze częstowali to herbatą, to wodą z mlekiem lub tzw. jarencykiem czyli suszonym na słońcu twarogiem.

W Pawłodarze stworzyliśmy młodzieżową organizację "Świt". Należeli do niej zarówno chłopcy jak i dziewczęta. Nie była to organizacja liczna, obejmowała ok. dwadzieścia osób. Zbieraliśmy się potajemnie i zajmowaliśmy się działalnością samokształceniową. Czytaliśmy polskie książki, staraliśmy się uczyć. Nasza organizacja działała do czasu powołania armii Andersa. Wtedy chłopcy poszli do wojska i wszystko się rozpadło. Naszym przywódcą i założycielem tej grupy był chłopak nieco starszy od nas o dużym talencie organizacyjnym. Kształtowaliśmy dyscyplinę, która była niezbędna po to aby nas nie wykryto.

Potem wybrała większość z nas walkę czynną, staraliśmy się dostać do wojska i nasz organizacja rozpadła się.